PATRZĄC W PRZYSZŁOŚĆ WIARY I KOŚCIOŁA

Z Robertem Spaemannem rozmawia Tommaso Ricci*

Tommaso Ricci: Panie Profesorze, czy Kościół w Europie rzeczywiście wychodzi „na spotkanie światłu", jak wielu utrzymuje? Czy to jest również Pana wrażenie?

Robert Spaemann: Kościół wychodzi zawsze światłu na spotkanie. Ale uważanie, że jego przyszłe widoki w Europie są różowe, jest po prostu myśleniem wedle życzeń. Pragnienie, aby zostać zbawionym, ogarnia dziś, owszem, wciąż rosnącą liczbę ludzi w Afryce i w Azji. W starym świecie natomiast pragnienie to zanika. Ewangelizacja Europy, która miała miejsce w pierwszych dziesięciu chrześcijańskich stuleciach kontynentu, dokonała się przede wszystkim dzięki faktowi, że pragnienie uczestniczenia w zmartwychwstaniu ogarnęło mocno ludzi pierwszego tysiąclecia. Dziś, jeśli chodzi o Europę, następuje bezgłośne odchodzenie mas od Kościoła.

T. R.: Jakie są przyczyny tego zjawiska?

R. S.: Trudno dać na to krótką odpowiedź. Ważna wydaje się pewna uwaga wstępna: w ocenie tego fenomenu nie wolno polegać na argumentach tych, którzy odwracają się od Kościoła i o których święty Jan mówi: „Wyszli oni z nas, lecz nie byli z nas; bo gdyby byli naszego ducha, pozostaliby z nami" (1 J 2, 19). Niedoskonałości chrześcijan czy złości przez nich wywołane nie mogą wystarczyć jako wskazanie istotnych powodów opuszczania Kościoła. To, że plebiscyt Wielkiego Piątku wypadł na korzyść Barabasza, dowodzi, że odejście bynajmniej nie musi mieć powodu w braku wiarygodności Głosiciela. Niewierzący sam nie zna prawdziwego powodu swojej niewiary. Nie może więc powiedzieć, w jakich okolicznościach by uwierzył – czy na

* Tekst rozmowy przedrukowujemy z czasopisma „30 Tage" (niemieckojęzyczna wersja „30 Giorni" wydawanego we Włoszech) 1991, nr 12, s. 26-30. Tytuł pochodzi od Redakcji „Ethosu". Red.

przykład gdyby zobaczył zmartwychwstanie umarłych, czy też gdyby papież mianował innych biskupów, czy gdyby Kościół przestał uważać antykoncepcję za przeciwną przykazaniu Bożemu, gdyby zmienił system podatku kościelnego, czy gdyby opowiedział się za socjalizmem albo za liberalizmem, gdyby kobiety były wyświęcane na kapłanów lub gdyby proboszcz mu nieco bardziej imponował. Gdyby zostały spełnione te warunki, niewiara i tak postawiłaby natychmiast nowe. Wierzyć oznacza mianowicie porzucić wszelkie warunki. Wiara jest rozumnym, ale bezwarunkowym posłuszeństwem, rationabile obsequium.

Właściwy problem naszego zachodniego świata polega nie na tym, że Kościół doprowadza świat do gniewu, lecz że stale rosnącą liczbę ludzi pozostawia obojętnymi. Maleje grupa ludzi, dla których życie wiarą wydaje się życiem autentycznym, godnym wysiłku, a przede wszystkim prawdziwą alternatywą wobec życia „etsi Deus non daretur" – jak gdyby Boga nie było.

T. R.: Czy Kościół nie zostaje w pewnym sensie ukarany za próbę „pojednania" ze światem za wszelką cenę, nawet za cenę podporządkowania się jego kryteriom? Kościół spostrzega dzisiaj z konsternacją, że „świat" go bądź ignoruje, bądź w innych wypadkach, używa do swoich celów. Czy nie trzeba więc czegoś zmienić w sposobie, w jaki Kościół rozumie swój stosunek do świata?

R. S.: Trzeba wyraźnie widzieć, że wiara chrześcijańska w świecie oznacza od początku walkę. Już święty Piotr mówił o owej wrogiej człowiekowi ponadludzkiej mocy, która „jak lew ryczący krąży" (1 P 5, 8). Jasne jest również, jak ta walka przebiega. Mianowicie tak, jak „w owym czasie", gdy Odwieczne Słowo Boże przez trzydzieści trzy lata zamieszkiwało widzialnie w owym zapadłym zakątku naszej planety. A więc – po ziemsku patrząc – bezużytecznie. Zamiar zbawienia świata zakończył się publiczną egzekucją – i to trzeciej kategorii.

W rzeczywistości jednak koniec ten stał się początkiem nowego świata, nie jedynie jakimś tylko fundamentalnym przekształceniem „tego świata". „Ten świat", w Nowym Testamencie, jest terminem oznaczającym to, na co został – poprzez śmierć Jezusa – wydany definitywny wyrok, co zostało skazane na upadek. Właściwie już się nie liczy, skoro Pan wyraźnie nie modli się już „za ten świat", lecz za „tych, których Mi dałeś" (J 17, 9). Albowiem „cały [...] świat leży w mocy Złego" (1 J 5, 19). To, co się liczy, to ci, którzy „pozwalają się ocalić z tego przewrotnego plemienia" (por. Dz 2, 40), aby „świecić pośród zepsutego i przewrotnego narodu jako źródło światła w świecie" (por. Flp 2, 15).

T. R.: Ale czy można mówić o niepowstrzymanym zmierzchu wiary w Europie?

R. S.: Nie wolno nam rościć sobie prawa do interpretowania określonych sytuacji historycznych w sensie ściśle historiozbawczym. Niemniej jednak posiadamy pewne trwałe punkty dla każdej możliwej interpretacji chrześcijańskiej. Powiedziano nam, że u kresu dziejów odpadnie wielu (por. 2 Tes 2, 3), że kiedy Syn Człowieczy ponownie przyjdzie, nie zastanie prawie wcale wiary (por. Łk 18, 8), że także chrześcijanie wykładać będą naukę według własnych gustów (por. 2 Tm 4, 3), że w końcu Antychryst zajmie pole (por. 2 Tes 2, 4), że miłość wielu ostygnie (por. Mt 24, 12) i że gdyby tych dni nie skrócono, nikt z ludzi nie mógłby być zbawiony (por. Mt 24, 22). Jednym słowem, trzeba sobie jasno zdać sprawę z tego, że dla „tego świata" prawdziwa wiara nie będzie nigdy wiarygodna.

T. R.: Patrząc czysto po ludzku nie są to zbyt piękne perspektywy...

R. S.: Oczywiście. Ale z drugiej strony rzeczy te zostały nam powiedziane ku pocieszeniu, „abyście, gdy się stanie, uwierzyli, że Ja jestem" (J 13, 19). Poza tym dodaje to w paradoksalny sposób odwagi, gdyż uniezależnia sens głoszenia Ewangelii od prognoz futurologicznych. Zresztą nie wiemy, w jakim miejscu historii przebywamy, czy kres wszystkich rzeczy stoi tuż u naszych drzwi, czy Bóg w Europie przyszłego tysiąclecia będzie miał znowu „wiele ludu" bądź wreszcie czy świecznik całkiem po prostu nie będzie zabrany ze swego miejsca, jak od wspólnoty z Efezu (por. Ap 2, 5), a nasz kontynent pogrąży się w ciemności. Nie musimy tego wiedzieć, gdyż przyszłość Kościoła nie jest naszą sprawą. Naszą sprawą jest jedynie to, aby w tym oto teraźniejszym momencie uczynić wszystko, co leży w naszej mocy, aby gdy Pan do domu powróci, zastał swoje sługi na czuwaniu (por. Łk 12, 37). A to, co w tym celu powinniśmy czynić, zawsze jest tym samym: modlitwa, post, głoszenie Ewangelii, świadczenie miłości braterskiej. Ponadto dziś należy tu dodać trzeźwość umysłu, odporność na osłupienie, nieuleganie pokusie samookłamywania siebie, odwagę patrzenia rzeczywistości prosto w oczy, analizowania jej za pomocą wszelkich racjonalnych środków i oceniania jej w świetle Objawienia.

T. R.: Jak reaguje Kościół na trudne położenie, w jakim się dzisiaj znajduje w Europie?

R. S.: Moim zdaniem, są dwa fałszywe sposoby reagowania. Jedna z tych reakcji polega na rozładowywaniu sytuacji i harmonizowaniu. Jest to zachowanie podobne do lisa, dla którego winogrona są za kwaśne. Z jednej strony, uznaje się Kościół ludowy – zresztą zanikający – za nieporozumienie, a przełom Konstantyna za przejaw grzechu. Z drugiej zaś strony, opowiada się za Kościołem „chrześcijan z wyboru", nie uważając ich przy tym bynajmniej za tych, którzy dopiero potrzebują zbawienia, a nawet za tych,

którzy w ogóle potrzebują rzeczywiście należeć do owego Kościoła z wyboru. W gruncie rzeczy bowiem cała ludzkość miałaby już być zbawiona, a Kościół byłby li tylko znakiem jej zbawienia. Kto zaś jest z dala od niego, niech pozostanie „jeszcze z dala" („noch fern"), jak to brzmi eufemistycznie w nowym niemieckim tłumaczeniu modlitwy kanonu. Możliwość, że ktoś przez całe życie jest z dala, że wcale nie znajduje się na drodze do Boga lub od Niego ucieka, nie jest w ogóle brana pod uwagę. Pierwsze zdanie atanazjańskiego wyznania wiary, które – tak samo jak credo nicejskie – łączy Kościół Wschodu i Zachodu, jest pilnie trzymane pod kluczem: „Ktokolwiek chce być zbawionym, musi przede wszystkim zachować wiarę katolicką". Akceptuje się więc własne położenie jako sytuację mniejszości, uznaje ją za coś normalnego, a na dodatek łagodzi się ją przez „pluralizm".

T. R.: A jak wygląda druga fałszywa reakcja?

R. S.: Przeciwna reakcja jest zdeterminowana przez strach przed gettem. Polega ona na tym, by za wszelką cenę utrzymać Kościół ludowy, także za cenę, że wyrzeknie się swojej tożsamości jako wspólnota wierzących. Tajemnice wysprzedaje się za bezcen. Komunia święta staje się wyprzedażą sezonową. O warunkach dopuszczenia do niej w ogóle się nie wspomina. Dzieci, o których wiadomo, że nigdy wcześniej nie były na Mszy świętej i że nie pokażą się na niej już w następną niedzielę, przyprowadza się do pierwszej komunii, po oficjalnym przygotowaniu przez niekatoliczki, które w niedziele uczęszczają do swoich kościołów (jestem gotów udokumentować to przykładami). Podobnie gdy patrzymy na wysokie liczby rozwodów wśród małżeństw, które zawarły ślub kościelny, nie należy sądzić, że wynika to stąd, iż małżonkowie zmienili swój pogląd na Boga i świat w czasie trwania swojego małżeństwa. Wynika to raczej stąd, że dopuszczenie do ślubu kościelnego nie wiązało się z rozmową, w której uznanie nierozerwalności małżeństwa zostało wyraźnie postawione jako warunek małżeństwa. Kościół nie staje się Kościołem ludu przez to, że sprzedaje się tanio. Zdobywa za to tylko pogardę.

T. R.: Jaka jest właściwa na to reakcja?

R. S.: Alternatywą wobec getta nie jest ani samosprowadzenie się do pewnej grupy pośród innych, która „wnosi własny przyczynek" do wielkiej całości naszej cywilizacji, ani też próba zacierania swych cech odróżniających, w wyniku czego Kościół zostaje wchłonięty przez całość. Misja. Oto jedynie chrześcijańska alternatywa wobec getta.

Rozziew pomiędzy uniwersalną aspiracją orędzia Ewangelii a sytuacją mniejszości tych, którzy tę aspirację żywią, nie zaniknie aż do końca dni. Znaczy to jednak, że misja ta jest możliwa tylko wówczas, gdy ci, którzy

znajdują się w sytaucji mniejszości, mają żywą świadomość tego, że „wybrali najlepszą cząstkę". Bez tej świadomości nie można sprostać wyzwaniu sytuacji, nie sprosta jej zwłaszcza młodzież. Czy chodzi o elitarność? Oczywiście, że tak. Tylko tam, gdzie wiara jest przeżywana jako niezasłużony przywilej, chrześcijaństwo może wzbudzać pragnienie uczestniczenia w tym przywileju.

Ażeby innych zdobyć, należy pokazać, iż to, przez co chce się ich zdobyć, jest a) prawdziwe, b) dobre, to znaczy zbawcze, że wreszcie jest c) piękne, to znaczy jest źródłem radości, czymś, czego wewnętrznej atrakcyjności nie można się oprzeć. Dzisiejsza prezentacja chrześcijaństwa jest bardzo odległa od tego. Sprowadza się je do jednego ze światopoglądów, jednego spośród wielu możliwych, który można tolerować. Nie przedstawia się go jako spojrzenie na rzeczywistość u jej źródła, u jej początku. Jako wydarzenie. Znaczy to, że każdy miałby niejako sam wymyślić dla siebie własną drogę, chociaż prorok Izajasz opisał jako stan zagubienia to właśnie, iż każdy szuka swojej własnej drogi (por. Iz 53, 6). I tak, chociaż każdej niedzieli słyszymy modlitwę: „wybaw nas od wiecznego potępienia", realne jego niebezpieczeństwo wcale nie jest brane pod uwagę, jakby go w rzeczywistości nie było. Gdzie jednak groźba nie jest realna, także i wybawienie od groźby realne nie jest, i chrześcijaństwo staje się puste.

T. R.: Ale gdzie człowiek może spotkać to wewnętrzne piękno, które go tak nieodparcie pociąga?

R. S.: Jeśli chodzi o to piękno, nigdzie lepiej i bardziej olśniewająco nie można go dostrzec niż w życiu świętych. Gdy dziś mówi się o świętych, słyszymy aż do przesytu, że byli oni ludźmi jak ja i ty. Ale nie słyszy się, że oni byli ludźmi lepszymi niż ja i ty. Tylko dlatego są oni dla nas tak ważni.

T. R.: Dzisiaj częściej od bezpośredniego zaprzeczenia wiary stwierdza się pewien „krytyczny dystans" wobec wydarzenia chrześcijańskiego. Czy nie to właśnie odbiera misji wszelką moc?

R. S.: Charles Péguy zdefiniował właśnie modernizm jako postawę tego, kto „nie wierzy, w to, w co wierzy". Czy owa wielość cudzysłowów w przepowiadaniu i ukrywanie się za filologią nie prowadzi do takiej mogącej tylko odpychać „niewiary w to, w co się wierzy"? Posłużmy się konkretnym przykładem. Od czego powinien się zacząć katechizm: od opisu historii (wydarzenia) stworzenia świata czy od opisu historii powstania relacji o stworzeniu świata, a więc od Księgi Wyjścia? Katechizm, który rozpoczyna się w drugi sposób, przecina tę dokładnie więź, która nas wiąże z ludem Izraela i która pozwala nam o nim mówić jako o „naszych Ojcach, dzieciach Izraela", jak czyni to liturgia. Więź ta polega wszak na tym, iż wspólnie z nimi patrzymy na to i razem z nimi za to dziękujemy, za dar stworzenia, o czym mówią

Święte Księgi. Jeśli zamiast tego mówi się o tym, jak te księgi powstały, a opis stworzenia jawi się tylko jakby przy okazji, tylko pośrednio, wtedy trzeba zapytać, kogo to oprócz filologów może interesować. Przecież jest tak wiele książek! Dlaczego ma kogoś interesować właśnie Biblia, skoro nie jest już ona słowem Boga? Katechizmy tego rodzaju są pozbawione wszelkiej mocy misyjnej.

T. R.: Liturgia jest innym obszarem, gdzie tradycyjnie piękno chrześcijaństwa było u siebie w domu...

R. S.: Wszelkie głoszenie prawdy, wszelka przestroga przed wiecznym zatraceniem i wszelka obietnica życia nieśmiertelnego zapadają w próżnię, jeśli zostanie zagubiona więź z tajemniczą, wewnętrzną siłą, która przyciąga. „Nikt nie może przyjść do Mnie, jeżeli go nie pociągnie Ojciec" (J 6, 44). Ta moc przyciągania w języku chrześcijańskim nazywa się „łaską"; słowo „charis" oznacza po grecku zarazem wdzięk. To, co pociąga nas w pojęciowo niewyrażalny sposób od wewnątrz, nazywamy pięknem. Msza święta, „boska liturgia" – jak mówi Kościół wschodni, ponieważ jest uwielbieniem i ofiarą, a więc zwrócona całkiem ku Ojcu – staje się przestrzenią niebiańskiego piękna. W Europie przez ponad tysiąclecie była ona ośrodkiem wszelkich sztuk. Ponieważ w pewnym sensie jest ona prototypem sztuki, nie powinno być w niej nic dowolnego. Każdy szczegół jest ważny. Dlatego Msza święta inspirowała zawsze wielkich poetów i muzyków i dlatego właśnie w pierwszym rzędzie ludzie sztuki są tymi, którzy sposób wprowadzania reformy liturgii w Kościele katolickim po II Soborze Watykańskim uważają za chybiony – już dlatego, że wraz z nim wtargnęła do liturgii dowolność i przez to również tandeta. Nasza współczesna spontaniczność nie jest do tego stopnia przeniknięta „życiem w Duchu", jak to miało miejsce w przypadku pierwszych pokoleń chrześcijan, by księża czy komisje liturgiczne mogli spontanicznie wymyślać coś, na co każdy drugi chrześcijanin wypowie swe „Amen". Dowolność jest przeciwieństwem immanentnej każdemu dziełu sztuki prawidłowości. Tajemnicza atrakcyjność piękna jest efektem promieniowania owej prawidłowości. Kiedy natomiast zaczyna się kształtować liturgię pod kątem widzenia tego, co zmienne, nowe czy interesujące, wówczas staje się ona nieuchronnie nudna. Taka postawa ciągłego wyczekiwania może w końcu tylko rozczarować. Msza święta nie może na dłuższy dystans być w ten sposób interesująca. Na przekór światu nadmiaru informacji i ciągłego jazgotu słów, celebracja uwielbienia, ofiary i uczty w stale tej samej sakralnej formie staje się z roku na rok niezrównanie bardziej fascynująca. Narzeka się dziś często na utratę więzi pomiędzy wiarą, Kościołem a kulturą. Otóż tę więź odbudowuje się nie przez sympozja czy imprezy, lecz przez to, że w swojej mocy promieniowania odnowione zostaje to, co stanowi duszę chrześcijańskiej kultury: chrześcijański kult.

T. R.: Panie Profesorze! Nuda. Oto co przedstawia się dzisiaj jako poniekąd główne znamię chrześcijaństwa. Czy nie jest to paradoksalne, że ona właśnie jest wynikiem zabiegów uczynienia Kościoła bardziej interesującym dla ludzi naszych czasów?

R. S.: Kiedy pytamy, dlaczego Kościół wciąż na nowo jest przedmiotem rozczarowań i frustracji, wydaje mi się, że na to pytanie możliwa jest tylko jedna prosta odpowiedź: to nie jest paradoksalne, to jest logiczne. Kościół w ostatnich dwudziestu latach sprowokował względem siebie bądź dopuścił pewną postawę oczekiwania, którego – jeśli chce pozostać wierny swojej istocie – w końcu przecież nie może wypełnić: oczekiwania, że będzie innym Kościołem. Skutkami są rozczarowanie, złość, rozgoryczenie. Dopuszczono do tego, że pojęcia „postępowy" i „wsteczny" zostały zdefiniowane za pomocą świeckich parametrów, a więc przez inne kryteria aniżeli miara świętości, i że działanie Kościoła było wedle nich oceniane. To może prowadzić tylko do frustracji. Weźmy przykład z liturgii. Im bardziej zewnętrzny kształt Mszy świętej zostaje upodobniony do kształtu protestanckiej celebracji Wieczerzy Pańskiej, tym bardziej wzrasta rozczarowanie, dlaczego w końcu nie następuje interkomunia. Brak interkomunii pomiędzy prawosławnymi a protestantami nie stoi na przeszkodzie przyjaźni Kościołów protestanckiego i prawosławnego. Liturgia prawosławna jest tak wyraziście odmienna od nabożeństwa protestanckiego, że nikt nie żywiłby podobnego oczekiwania. Toteż nie pojawia się frustracja, że nie ma interkomunii. A takie frustracje są bardzo szkodliwe dla ekumenizmu.

T. R.: Panie Profesorze, każdy synod jest dla Kościoła okazją stania się na nowo świadomym swojego zadania w świecie. Czego Pan życzy sobie od Synodu Europy?

R. S.: Trzeba wreszcie położyć kres orientacjom, które w rezultacie wytwarzają jedynie frustracje. Przyszłość wiary zależy od tego, czy wiara stanie się widoczna jako źródło radości. Bez radości człowiek nie może czynić nic dobrego i słusznego. A radość, która jest czymś więcej niż „keep smiling", wiąże się nierozerwalnie z jednoznacznością świadectwa. Nazbyt już długo teologowie grają rolę „panów naszej wiary", zamiast pozostawać „sługami naszej radości" (św. Paweł). Tylko wówczas, gdy fałszywe oczekiwania zostaną wyraźnie ujawnione jako iluzoryczne i nieuzasadnione, oczywista stanie się wiara jako źródło radości. Od tego zależy skuteczność nowej ewangelizacji. Koniec końców bowiem każdy zwraca się tam, skąd oczekuje najgłębszej radości.

Tłum. *Ks. Alfred Wierzbicki*